№ 19. WARSZAWA, 21 LIPCA 1906 R. ROK I.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
z odnosz. do domu r. k.		Rocznie	9 —
Rocznie	7 60	Kwartalnie	2 25
Kwartalnie	1 90	Numer pojedyń.	— 15
Miesięcznie	— 65	Za zmianę adresu	— 22
Numer pojedyncz.	— 15		

PRZEGLĄD SPOŁECZNY WYCHODZI CO SOBOTA.

Adres Redakcji i Administracji

Wiejska Nr. 15.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz

Administracja otwarta od 10 do 5—prócz świąt

W interesach redakcyjnych porozumiewać się można od 3-ej do 4-ej.

DROBNE RĘKOPISY NIE ZWRACAJĄ SIĘ.

Szanownym Prenumeratorom przypominamy, że czas odnowić przedpłatę na następny kwartał.

Poszukiwaczom idei narodowej.

—o—

Wytworniejsze umysły polskie przesłaniać lubią same przed sobą zdezorjentowanie własne: — utyskiwaniem na brak idei, a w szczególności *idei narodowej* we współczesnym ruchu narodowym. W tem królestwie cieniów, jakiem jest *duchowe* życie współczesnej Polski, samo to narzekanie jest cieniem, reminiscencją literacką, cytatą nie w porę. Dla emigracji polskiej, żyjącej na obczyźnie, *ideje*, t. j. uspołecznienie moralne i umysłowe wychodźców były jedyną rzeczywistością, z jaką bezpośrednio stykali się oni. Emigracja miała za zadanie zachować *moc moralną* w sobie — gdyż ta *moc* to była gwarancja, że działać dla dobra sprawy narodowej będzie wychodźtwo polskie umiało i mogło. *Ideje* wychodźtwa—to były zapowiedzi: zaczątki przyszłych, mających być dokonanemi czynami. *Spory idejowe, kryzysy moralne, zwątpienia* i odrodzenia — były tutaj jedyną możnością pracowania dla historji. Gdyby *emigracja* przestała wierzyć, że Polska ma być — przestałaby być tą duszą narodową, tęskniącą za ucieleśnieniem. Emigracja musiała wierzyć, że ojczyzna, Polska to nie jest tylko złowieszcze fatum, wiążące ich indywidualne życie z losami skrawka ziemi. Przecież do ludzi tych także uśmiechało się szczęście, wabiła karjera, możność szczęśliwego i jednego działania. Polska musiała być dla nich nie tylko faktem historycznym, narzuconym, lecz wartością, związaną z całem ich indywidualnem życiem. Musiała zrosnąć się z tem, co było w nich najżywszego, musiała stać się ideałem, poza którym niema moralnego życia dla jednostek. Emigracja musiała nieustannie czuwać nad duchowym kształtem Polski, musiała pracować nad tem, aby jaśniała ona jak ta najwyższa, nadprzyrodzonym blaskiem promienna *ideja Platońska,* obejmująca i rozświetlająca swemi promieniami wszystkie sfery duchowego życia. Polska musiałaby przestać być pojęciem geograficznem, musiała się stać *duchową wizją*—doskonałości, dostępnej tym ludziom. Musiała stać się dla uczonego, czy filozofa—warunkiem, bez spełnienia którego nie może być poznana prawda, dla artysty i poety—musiała być formą piękna, jego umożliwieniem. Słowem — musiała być związana ze wszystkiemi życiowemi tęsknotami tych ludzi. Musieli oni przypominać sobie, że nigdzie poza Polską nie będą umieli ani myśleć, ani tworzyć, ani kochać. Gdy życie europejskie wytwarzało jakiś ideał, czy dążenie społeczne, zdolne rozentuzjazmować tych tułaczów, wnet wcielali oni tę nową wartość do swojego idealnego obrazu ojczyzny. Wcielali, wyidealizowując, przystosowując go do *swoich* potrzeb serca i duszy. Polska wchłaniała w ich oczach wszystkie światła, rodzące się na zachodzie, i od niej dopiero nabierały one ostatecznego blasku. Tak walczyli duchem Mickiewicz i Towiański, Trentowski i Wroński, Cieszkowski i Słowacki, Norwid i Lelewel—za *narodowość swoją*. W nich wszystkich było silne *idejowe* życie. Czuli, że gdyby w jakimś momencie obczyzna zaspokoiła ich potrzeby, ich głody wewnętrzne — *coś z ich polskości* utraciłoby na energji, więc usiłowali skojarzyć ideję Polski z taką *duchową treścią*, wobec której bladłyby dla nich zdobycze zachodu. Ile w tem było złudzenia — to wykazała analiza ich dorobku.

Teraz zaś zrozumiałą stała się nam, jak sądzę — istota tu nieustannie trawiącej emigrację walki o *ideję polską*, utyskiwanie, gdy wydaje się wychodźcom, że ideja ta zaćmiona w swym blasku została. Jest to forma walki i pracy — ludzi, nie mających żadnej innej rzeczywistości historycznej, prócz serc własnych. Znaczenie historyczne ma tu to, co podtrzymuje zapał tych serc. Historja staje się procesem wyłącznie idejowym i moralnym. Być najszlachetniejszym, stworzyć najszlachetniejszą myśl, znaczy to już zwyciężyć.

Odrazu zaznaczmy—dlaczego taki *oderwany* idealizm nie jest najwyższem kryterjum. Czem jest ideja? Jest *obrazem życia,* któreby uczyniło zadość potrzebom wyznającego daną ideję człowieka. *Ideja Polski* umiała być obrazem *życia polaków*, życia, czyniącego zadość

ich wymaganiom. Tak, ale czyim wymaganiom miało to wyznaczone życie czynić zadość—wymaganiom emigracji. Emigracja reprezentowała tylko pewną warstwę społeczeństwa, a przyszła Polska zaś miała stworzyć *idealne* warunki życia dla wszystkich polaków—a przedewszystkiem najliczniejszej warstwy *ludu*. Emigracja niewątpliwie utożsamiała swoje *ideały* z ideałami ludu i przez to samo ideał jej musiał być ciaśniejszym od życia, które rośnie twórczością wszystkich pierwiastków danego społeczeństwa, danego narodu. Błąd ten łagodzony był przez korekturę etyczną tego rodzaju: a *ideał* miał na razie to identyczne znaczenie tylko, aby zachować w wychodźcach święty ogień, aby umocnić w nich wolę służenia ludowi. Ponieważ do kolizji pomiędzy *ideałami* emigracji, a potrzebami i uczuciami ludu nie doszło—więc i emigracja polska zachowała swój wyjątkowo bezinteresowny i czysty typ duchowy, wyróżniający się tak niezmiernie korzystnie od innych grup *ideologicznych*. Nie wyrobiła się w niej tylko jedna właściwość zdolności pracy — gdyż ta w historycznych warunkach, zwłaszcza polskich, pozostać nie mogła. Użyłem bardzo prozaicznego wyrazu *potrzeby*.

Pragnę wyjaśnić jego znaczenie etyczne. Ideja, ideał—jest obrazem życia ludu, czyniącym zadość ich wymaganiom, wartość jego polega na tem właśnie.

Człowiek i jego wymaganie — oto ostateczny sprawdzian. Autorytetu etycznego dla ludzkości poza ludzkością być nie może. Kto przypuszcza, że może istnieć dla nas *pozaludzki* autorytet o określonej treści swych wymagań—nie przeanalizował nigdy tego swego przekonania.

Gdy więc mówię: *potrzeba ludu*, mówię sprawdzian, jakiemu ideał ma czynić zadość. Ideał, nie czyniący zadość *potrzebom*, jest nieetyczny, uciemięża bowiem *swobodę*. Jeżeli przeciwstawiamy *ideały* potrzebom—to wypowiada się w tym oddarcie t. zw. myślących warstw od reszty narodu. *Potrzeby* tych warstw nazywają się ideałami: *ideały* nawet pracujących warstw ludowych noszą prozaiczne miano klasowego interesu.

Rozumiemy teraz, na czem polegało znaczenie pracy idejowej emigracji. Utrzymywała ona w niej zdolność czynu. Czyn ten zaś miał służyć interesom i zadaniom życia polskiego narodu. W tym ostatnim sprawdzianie zawierała się hypotetyczna sankcja naszej emigracyjnej działalności. Idejowa praca miała uczynić tułaczów zdolnymi do wytrwania, miała zachować w nich na przyszłość wolność pracy dla ludu. Jeżeli zaś sądzili niektórzy z pośród emigrantów, skłonni byli *mniemać*, że idzie tu o uczynienie zadość pewnemu ideałowi, a przez to samo, niezależnie od jakichś kolwiek imanentnych światowych skutków — dokonane zostanie dzieło ekspijacji narodowej, było to złudzenie, zrozumiałe w warunkach historycznych. Należy jednak stwierdzić, że emigracja polska skłonnością do fatalizmu, spekulacją metafizyczną się nie odznaczała. Była zawsze stronnictwem czynu. Powód do *karykaturalnej ideji* Boga, działającego w historji bez udziału ludzkiego ramienia — należy zapisać całkowicie na conto autora *Białego sztandaru*, Gomulickiego. Z tradycjami romantyzmu polskiego — za wyjątkiem moralizującego okresu w twórczości dekadenta Krasińskiego — pojęcie to niema nic wspólnego. A w formie tak humorystycznej, w jakiej wyraził je—warszawski „poeta“, pojęcie to nie zostałoby przyjęte nawet przez Krasińskiego, nie mówiąc już nic o Słowackim ani Mickiewiczu. Przecież za zasługę swoją romantyzm polski uważał wprowadzenie Boga do historji, rozszerzenie tego pojęcia na sferę walk ludzkich. W każdym zaś razie tylko oddarcie od *życia bezpośredniego ludu* doprowadziło do zamknięcia się emigracji polskiej w sferze samej *ideji*. Walka o ideję była wynikiem jej położenia historycznego.

Dzisiaj—gdy czytam utyskiwania na brak idei polskiej we współczesnym ruchu rewolucyjnym, nie jestem w stanie zdać sprawy sobie, o co właściwie idzie. W czem może się wyrażać *polskość* tej idei. Jak sądzę, na teraz tylko ma *ona* być obrazem życia, czyniącego zadość wymaganiom i potrzebom żyjących dziś polaków. Jaką drogą więc znaleźć tę ideę można:—oto wyłącznie *drogą* szerokiej pracy *myślowej*, wielce realistycznej i skrupulatnej nad interesami i potrzebami ludu polskiego. Bardziej specjalna tylko praca i zdolność do pracy jest ostatecznym czynnikiem, rozstrzygającym o utrwaleniu się wartości ludzkich w świecie. Ideja polska to znaczy dziś znaleść *warunki* najświetniejszego rozwoju dla pracujących polaków, dla robotników polskich i pracujących chłopów. Inną drogą do żadnej *ideji*, mającej znaczenie dla narodu, polskiego dojść niepodobna. Gdy więc widzę, że narzekający na brak *ideji* i prawdziwy purpurat poezji naszej nie z talentu tylko, lecz i z krwawej męki duchowej—Tadeusz Miciński zarzucał polskim rewolucjonistom, że u magów indyjskich nie szukali idei jaśni, a jednocześnie sam swym udziałem w pismach wszechpolskich pomaga do utrwalenia autorytetu targowickiej polskości Koła Polskiego, zdradzając w ten sposób — absolutną dezorjentację co do tego, co probierz wszystkich ideji polskich stanowi — *co do* potrzeb ludu polskiego, gdy widzę, że Nowaczyński w tym samym artykule, w którym mówi o znaczeniu tradycji—nie waha się rzucić frazesu o „katylinarnych egzystencjach i zdziczeniu mas“, pomimo że zna i utwory Słowackiego, a więc i słowa:

Kto ma ojca prawie raka
Ten przeklęty, więc się bój—
Polski lud—to ojciec twój.

Wtedy nasuwa mi się djagnoza taka. Garść ludzi, żyjących swojemi artystycznemi i kulturalnemi interesami przywykła uważać je za sens świata. Gdy *walka* nie wysunęła bezpośrednich tych haseł, z któremi zżyli się warukowo — stała się ona dla nich niezrozumiałą, dziką. Nie zadali sobie trudu sprawdzić, czy *lud* polski niema słuszności, gdyż nie ma tych pojęć, które oni eksploatowali dla celów przeważnie estetycznych, czy tu przeciwnie *pojęcia* te wymagają wzniesienia. Romantycy za pomocą swej pracy idejowej wyrabiali w sobie wolność służenia ludowi: dzisiejsi poszukiwacze idei narodowej *chcą*, aby *lud* czynił zadość tym pojęciom, które sami oni wytworzyli sobie o działalności polskich tułaczów z epoki po roku 1831. Zdaje mi się, że trudno o całkowitsze odwrócenie pojęć. Słowa nagadać jest łatwo—walka wydaje się bezidejową przedstawicielom polskiej literatury, gdyż są oni ignorantami w dzidzinie życia społecznego, gdyż nie umieją znaleźć

sensu zdarzeń, przemawiających z granitową dobitnością. Byłoby to tylko humorystyczne, gdyby nie to, że w ten sposób opinja świata zyskuje w tych estetach nowych pomocników. Gdy J. Słowacki pisał do A. Czartoryskiego list — chwalił to, co było jedyną polską rzeczywistością na emigracji — obraz idealnej Polski— przed spaczeniem. Gdy współczesna młoda Polska chce dać lekcję idejowości Heryngom, Daszyńskim, Sieroszewskim, Kulczyckim, Dawidom, Niemojewskim, jest to co najmniej przykre nieporozumienie. Możeby było dobrą rzeczą wydać dla użytku równych Altesse Magnifique—*młodej Polski*—rozmowę Słowackiego z Maryną Mieczysławską.

St. Brzozowski.

Raz jeszcze pogrzebany.

Marny jest los wielkich ludzi!

Za życia najczęściej poniewierani i zagłuszani w walce tłumu z prawdą, zdobywają pomniki i rozgłos po śmierci, gdy komentatorowie zdążyli już myśli ich dostatecznie poprzekręcać, gdy imię stało się dźwiękiem rozgłośnym a pustym, gdy motłoch powybierał wszystkie najgłupsze zdania i odbił złotemi głoskami ku poparciu własnej bezmyślności.

Cóż powszedniejszego, jak widok gnuśnego sybaryty, deklamującego z zachwytem „Odę do młodości"?... Przecież to go do niczego nie obowiązuje, to *tylko* poezja — bardzo ładny wiersz...

Umarli policzkują nie wiecznie, a wietrznie.

Salon. Raut.

Wydekoltowane, opasłe babska wachlują się bezmyślnie, wdumane półsennym wzrokiem we własne drobnostki życiowe; gąsięta szablonowo wabią epuzerów; kawalerowie wywęszają posagi; ludzie poważni grają za kulisami w winta..

Na środek wychodzi pan we fraku z piękną mierzwinką i poczynającym się brzuszkiem. Flirt cichnie. Ten i ów, niezadowolony z konieczności przerwania pikantnego konceptu, który miał zarumienić dodatek do posagu, obrzuca natręta niechętnem spojrzeniem.

Pan we fraku zaczyna.

Samotność! Cóż po ludziach...

— A, „Improwizacja"... To ładne; niech pani posłucha.

. . . . Nieszczęsny, kto dla ludzi
Głos i język trudzi...

— Rzeczywiście bardzo ładne.

. . . . Ile tylko krwi kropli widzą w mojej twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach...

— Trochę może za długie.

. . . . Ja, mistrz, wyciągam dłonie.
Wyciągam je w niebiosa i kładę me dłonie...

— Także rym...

— Przecież to improwizacja. W improwizacji uchodzi.

Skończył. Oklaski. Burza oklasków. Huragan oklasków. Niektórzy ściskają dłonie deklamatora. Klaszczą nawet panowie, którzy w drugim pokoju nie przerywali winta i nic nie słyszeli. Przecież to Mickiewicz — ten, co napisał „Powrót taty" i „Pana Tadeusza".

— Czy i w tym roku państwo jadą do Wiesbadenu?...

Na Krakowskiem Przedmieściu stoi pomnik śpiżowy. Postawili go na chwałę narodu, czyli nieskończonego zastępu istot mizernych, we własne pępki wpatrzonych. Wystawili go, by się przed obcymi pochwalić. Wystawili, by ozdobić miasto, by jaknajtaniej zadokumentować ofiarność patrjotyczną, by się pozbyć zmory niewdzięczności...

Zresztą, oni kochają Mickiewicza.

I Reja kochają. A jakże.

Właśnie obchodzili w Krakowie czterechsetny jubileusz urodzin. Zjechali się z całej Polski uczeni i literaci — przeważali galicjanie, więc myśliciele, godzący naukę z religją (katolicką oczywiście); przybyło dużo kapłanów. Udało się doskonale; wszyscy byli nadzwyczaj zadowoleni.

Obchód ten — to jeszcze jedno uderzenie w dzwon popularności. Rej!... Rej!... Rej!... huczy sława i dźwięk ten utrwala w pamięci narodu. Już czterysta lat temu mieliśmy poetę pierwszorzędnego! Już czterysta lat posiada nasz język literacki!

Duma nam piersi rozpiera.

A że to był heretyk, że to był demokrata, że to był bezlitosny prześladowca fałszu, głupoty, zabobonu, egoizmu...

Cicho, cicho, cicho...

Hej, prawowierni! Plackiem przed Rejem! Sami księża kazali. Oto wybór policzków, od których i dziś fizjonomje puchnąć wam powinny.

Rej bluźnił. Bluźnił nawet na wodę święconą.

Kropże miły prełacie tym przmielowym kijem
. . . .
Bo chociaj z tą postawą, z tym kropidłem kroczysz,
Wiem, iż mi nie pomożesz, jedno iż mię zmoczysz.

Albo to:

Sakra co do Rzymu noszą.

Jeśli ją sakrą zową, iż z Rzymu powstała,
Będzie sacratissima, gdyby tu została;
Bo się na niepotrzebny tam obraca zbytek.

Złośliwości tego poety nie zatrzymywały nawet stopnie tronu namiestnika Chrystusowego.

Papież.

Dziwna to rzecz, kto to śmie na Boga żywego

Targnąć się, przywłaszczając sobie miejsce jego
. . . .

Albo jako nędzny on Nabuchodonozor,
Co żarł siano jako wół wywiesiwszy ozor,
Podobnoć też tak będzie i papie naszemu.

Nie żałował Rej oczywiście i drobniejszych eksploatatorów ciemnoty.

Księża pospolici.

Z tymi radszej, niż zwady, zawżdy szukam mieru
Bo tam więcej i słówek, więcej i papiru.
Jeślibych nie pochlebił, a chciał mówić prawdę,
Tedy prędką odpowiedź, acz niepewną, znajdę;
I nie trzeba szacować, co rozeznać snadno:
Pewnie pod tym wojłokiem zawżdy znajdziesz sadło.
Chociaj dobrze nasłany, ale przedsię ciśnie,
Bo pocichu nie jeden i w tej zgrai piśnie.

Opaci.

Tu się nie dziwuj tym wieprzom, co tak darmo styli.
I jako się nie wstydzą, co je potuczyli.
. . . .

I wdzięczniejszaby chwała z onych Panu była,
Co nędznie w łykach krzyczą, niż z tych co zatyła.

Wszystkie te utwory znajdują się w przedrukowanym obecnie przez klerykalną Akademię Umiejętności „Zwierzyńcu“. Książka jest gruba, pięknie wydana, więc droga, a w dodatku dla pewności (niby ze względów artystycznych) odbita gotykiem, którym szerokie masy czytać nie umieją.

Tym sposobem, zachowując wszelkie formy pietyzmu i popularyzując dźwięk imienia Reja, antenata hrabiowskiej dziś rodziny, raz jeszcze pogrzebano myśliciela — satyryka, tego właśnie, który porywaniem się na wszystko, czem Polska rzekomo stała i stoi, winien być i jest nieśmiertelnym.

W odpowiedzi na ten obchód pogrzebowy, powinnyby stronnictwa postępowe przedsięwziąć wydawnictwo *prawdziwych* złotych myśli wielkich polaków: Reja, Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego i innych.

Należałoby ukarać tych zdawkowo czczonych ludzi w ich rzeczywistym bluźnierczym majestacie.

B. H.

„Marjawici“ i „prawowierni“.

„Dzwony“ „Dzwonki“ i „Kurjery“ przepełnione są wiadomościami o rozpuście marjawitów, o ich przewrotności i szalbierstwie.

Przeciwnicy marjawitów z prawdziwie „chrześcijańską“ radością zbierają okruchy wszelakich wieści, aby zwolenników „mateczki“ w oczach opinji zdyskredytować i oczernić.

„Prawowierni“ w swoim zapale bronienia zagrożonego kościoła i zachwianej w swych podstawach katolickiej moralności, nie cofają się nawet przed roztrząsaniem takich faktów, od których przecież każdy prawowierny myśl odpędzać i oczy odwodzić powinien. Niby powstając przeciw rozpuście i ohydzie swojemi rewelacjami, dostarczają właśnie najwięcej pokarmu lubieżnie podrażnionej wyobraźni i obfity materjał żądnym sensacji bezmyślnym. Bo pomiędzy interesującemi się sprawą marjawitów — jednostki czynią to z przekonania i pobożności, dziesiątki — w obronie swych przywilejów, a tysiące — z pożądania skandalu. Na sektę marjawitów rzuca się gromy oskarżeń, a materjał dowodowy zbiera się od zwiędłych w obłudzie dewotek i napoły poczytalnych histerycznych panienek. A potem te pikantne historje rozgłasza się za pomocą pism, które wzięły sobie monopol na wszelkie cnoty — przeszłe, współczesne i przeszłe, współczesne i przyszłe. W ten sposób utrwala się „naszą“ i rozumie się „narodową“ moralność i stoi się na straży wiary, rodziny i czystości domowego ogniska.

To jest jedna strona kwestji. Bardzo być może, że „zakład“ panny Kozłowskiej dostarczał przyrządów kościelnych i jednocześnie mężom świętobliwym zakazanych ziemskich rozkoszy. Bardzo być może, że naiwne i systematycznie ogłupiane dziewczęta służyły celom tak odległym od pokory i pobożności jak np. Narodowa Demokracja od prawdziwej „Narodowej Demokracji“. Że księża marjawici każą sobie suto płacić za swoje nauki i nadzieje zbawienia, że wyzyskują bezlitośnie ciemnych i zaślepionych — i to jest zupełnie możliwe. I nietylko możliwe, ale nawet najzupełniej prawdopodobne.

Lecz czy taki stosunek duchownych do zasad głoszonej przez siebie wiary i pasterzy do swoich owieczek jest rzeczywiście tak czemś nowem, niezwykłem w naszym kraju, że mu specjalną należy poświęcać uwagę i szczególniej należy poświęcać uwagę i szczególniej głośne nad nim zawodzić lamenty? Czyż naprawdę ci, co gromy rzucają, mogą, spowiadając się przed swem sumieniem, powiedzieć, że są bez skazy i zmazy? Czyż nic nie opowiadają sobie kumoszki na uszy, a panowie przy towarzyskim kieliszku różne mniej lub więcej dowcipne dykteryjki, w których habit i rozpusta, udana świętobliwość i całkiem ziemskie grzeszki w zgodnym przesuwają się chorowodzie? Czyż jest dzisiaj dla kogośbądź tajemnicą, że probostwo to taka sama dobra posada, jak jakiegoś uprzywilejowanego urzędnika, z tą tylko różnicą, że nie związana jest z nią żadna odpowiedzialność, a wyzysk jest ułatwiony przez zabobon, ciemnotę i przesąd?

Przecież nawet młode wróble świerkają na dachach o tem, że duszpasterze tak samo łakomi są na grosze, jak wszyscy inni robigrosze i że nieraz jest księdzu niemiła ofiara, więc ciele wracać musi do obory. Pod tym względem księża marjawici i księża prawowierni nie mogą sobie żadnych robić zarzutów. Kapłani nowej sekty ciągną tylko dalej praktyki dawnych swych nauczycieli, a obecnych swych wrogów.

Księża prawowierni mogliby mieć do księży marjawitów jedynie pretensje o to, że ostatni handlarskim nosem wyczuli... interes.

Rzecz ma się tak: Pomiędzy ogromną rzeszą księży-swiatowców i karjerowiczów, którzy przywdzieli na siebie habit duchowny, ponieważ daje on możność życia bez trosk i kłopotów, znajdowały się jednostki, nie po faryzeuszowsku rozumiejące ideały kościoła, brzydzące się istniejącemi stosunkami, przeniknięte szczerą wiarą i prawdziwem miłosierdziem. Ludzie ci swem ascetycznem życiem i dbałością o dobro swych owieczek zyskali sobie olbrzymi szacunek u ludu, który potrafił łatwo odróżnić maskę obłudy od szaty szczerości. Do tych samotników i nędzarzy zwracali się nieszczęśliwi i stroskani, pewni, że zawsze otrzymają pomoc i poradę. I księża, tak niezwykle odróżniający się od swoich towarzyszów, zostali przez lud otoczeni nimbem świętości. I z tego ukorzenia się prostaczków przed prawdziwą nieobłudną pobożnością skorzystali młodzi wikarzy, niemogący się doczekać intratnych probostw, naprędce stworzyli nową sektę, pod pozorem walki z zepsuciem, panującem w katolickim kościele, aby tą drogą prędzej dojść do znaczenia i majątku. Zręczni demagodzy wyzyskali stare przesądy, uprzedzenia i nastroje, aby z szarzyzny głuchych parafji wydostać się na pełne wody życia i użycia.

A że w naszych warunkach łatwiej jest jednać sobie ludzi, tumaniąc ich zabobonami, niż jakim bądź innym sposobem, więc nic też dziwnego, że księża marjawici nietylko nie usunęli dawnych, ale i dodali do nich nowe. Marjawici to krew z krwi i kość z kości kościoła katolickiego. Pierwsi otrzymali od ostatnich w spadku wszelkie przypisywane im wady i występki. Księża prawowierni, rzucając gromy na swych przeciwników, wydają wyrok tylko na siebie. Walka religijna, jaka obecnie toczy się w naszym kraju, ani przez chwilę nie była walką o ideały. To tylko dwaj przeciwnicy wydzierają sobie upatrzoną ofiarą i wymyślają na siebie wzajemnie dwaj zazdrośni o swe zyski konkurenci.

L. P.

ANTONI MILLER.

Z dziennika prostytutki.

(Dokończenie).

14 lipca.

Ach. Boże. Boże! Jakież rozgoryczenie wypełnia mi duszę... Tak żyć nie można! Miłość Kazia i dobroć jego matki! Tylko to mam dla duszy. Ale i z tych promyków utkała mi dusza kir smutku. Przecież koniec być musi! Widzę, że Kazio chce się ożenić ze mną. Dał mi to wyraźnie do zrozumienia... Milczę. Bo cóż mam mówić? Miłość go zaślepia — a gdy przeminie?...

Nie! Dostanę obłędu! Mózg nie pracuje, tylko serce i nerwy! Nerwy uspakaja haszysz.

A serce?...

Nie...

15 lipca.

Nie mogę zrozumieć—co się ze mną dzieje? Kiedy myślę o przeszłości — widzę siebie absolutnie inną, tak inną, że owa Salomea Bronnicka to myt. Gdy zaś *teraz* zaglądam w siebie — natychmiast z mego „ja“ wyłania się „ona“, — jakaś nieznajoma kobieta, którą kocha i utrzymuje pan Kazimierz Sajkowski... Pisząc dziennik — opisuję czyny i myśli tej *drugiej* Salomei, utrzymanki czy tam kochanki Kazia, pisze zaś o niej jakaś machina o postaci ludzkiej, nie mająca ani myśli, ani serca. Pomimo to w chwili biernego stanu woli i myśli wiem napewno, że tych troje — to jedno „ja“.

20 lipca. Noc.

Dzisiaj Kazio powiedział mi wprost, że się chce ożenić ze mną. Odrzekłam mu, że nie jestem usposobioną do rozpatrzenia tej kwestji, ponieważ „oświadczyny“ (!) jego są dla mnie dziwną niespodzianką. Trochę skłamałam, ale cóż robić?

21 lipca.

Jeżeli się zgodzę być jego „żoną“, będę musiała powrócić do domu, by Kazio mógł odegrać komedję starań o moją rękę, ojciec mój napewno zechce złożyć rewizytę Kaziowi w jego majątku. To jest niebezpieczne... Może się dowiedzieć o tem, żem już była w tamtej okolicy... Wpływy szlacheckiego wychowania przechowały w ojcu dumę magnacką i rutyniczną cześć ku formom. Oddając córkę, zechce zbadać genealogję starającego się, poglądy jego na życie, na znaczenie rodu i dobrego mienia.

„Sześćdziesiąt lat, powtarzał często, pracuję na dobre imię i nie dam go splamić — nikomu! Żaden parweniusz, żaden hołysz w roli zięcia nie przestąpi progów moich. Narody żyją rasą, a rasy posiadaniem własności ziemskiej i nieposzlakowanego nazwiska. Przeminą wszelakie formy rządów, chociażby czysto-demokratycznych — a rasa wypłynie na wierzch jak oliwa na wodzie i znów stanie u steru władzy i pielęgnowania tradycji“.

Kazio, pochodzi z chłopów... Ma więc wszystkie szanse, aby się nie podobać ojcu.

Co robić?

Najwięcej mię dręczy brak przekonania do małżeństwa bez miłości. Ja w trwanie miłości Kazia często wątpię. Przyjdzie kiedyś ukojenie zmysłowe i zatęskni mu serce do pieszczot lilji, do trwogi dziewczyny niewinnej w noc poślubną.

Jakże brutalnym wyda mu się teraźniejszy nasz stosunek. Dzika orgja płatnej bachantki! Miękki, wstydliwy szept zawstydzonej, ale i uszczęśliwionej niewinności. Za silny kontrast! Ja nie mogę wywierać moralnego wpływu: zbyt częstym ulegam rozterkom. Kobieta

może przerobić charakter mężczyzny, zmienić jego zapatrywania, ale wtenczas, gdy mu imponuje czystością moralną.

* * *

W miłości mej na pierwszym planie stoi wrażliwość zmysłowa. Za tym człowiekiem szaleję... Rozwinęłam się fizycznie, jestem w sile młodości — pali mnie war młodej krwi. Pomimo tego nie kocham go tak, jak kochałam Andrzeja.

Ja Kazia lubię... A pomiędzy „lubię i kocham“ — jest przecie wielka różnica. Lubię — oznacza zgodę kobiety na obcowanie umysłu z umysłowością mężczyzny, oznacza harmonię charakterów w kwestjach formalnych życia, stosunków, interesów i t. p. Lubię — może oznaczać nawet pewien wspólny popęd fizjologiczny ku sobie. Ale nie jest to „dobór płciowy“, — ani też, głos Szopenhauerowskiego „geniusza rodu“, który ludzi młodość iluzjami, by wydać zdrowego osobnika. „Lubiącą“ Polkę cechuje przeważnie platonizm wyobraźni, rzadko zatrważanej obrazami szczęścia w objęciu mężczyzny.— Samo już, zresztą, istnienie w naszym języku dwu wyrazów — „kocham“ i „lubię„ dowodzi, że u nas istnieją dwa pokrewne, ale różnorodne uczucia.

A kocham?...

Kocham nie wyklucza szału, lecz ma obok tego wyjątkową intensywną siłę psychiczną. Nasza kochająca kobieta, o ile jest postępowo wychowana, wyczuwa potrzebę jedności *umysłowej* i *etycznej* z mężem. Etyka takiej kobiety nie jest zbyt indywidualistyczną: — nie zapomina ona nigdy „demosu“ — kwestji etyczno-społecznych.

Otóż nie czuję wewnętrznej chęci iść w życie z Kaziem. Nie mogę wyobrazić siebie jako jego żony.

Kiedy kochałam Andrzeja, formułowałam wyraźnie moje idejowe dążenia. Miałam silną wiarę w przyszłość naszą. Myślałam — „my“, mówiłam: „ty i ja“. Teraz myślę: — „ja“, mówię o przyszłości „mojej“, tęsknię za pieszczotą dla *siebie*, udzielając ją Kaziowi przez wdzięczność, przywiązanie i... niestety, — obowiązek!

Być może, że gdyby mię on odrazu odesłał do domu, pokochałabym go... Ale — jak mu o tem powiedzieć?...

Jeżeli jest niemoralnością, że oszukuję rodziców i żyję z nim — będę bardziej jeszcze występną, kłamiąc i wychodząc za mąż. Ten człowiek w niczem nie zawinił wobec mnie.

Nie, nie! Nawet gdybym kochała! Jam nędza. Na moich piersiach, na mem łożu żądza gasiła swe pragnienie! Nie jestem godna tego uczciwego człowieka, nie mam prawa splamioną stopą kalać kobierca w Domu Bożym!

15 sierpnia. Birsztany.

Byłam już przygotowaną do kompromisów z sumieniem i prawie się zgadzałam na ślub z Kaziem. Przecie duszę można gwałtem wtrącić w uniform! Nauczono nas deptać naszą indywidualność — podciągając ją pod strychulec form towarzyskich, pod pręgierz „Zasad“ domu. I już zaczęło mi się udawać to przystosowanie organizmu psychicznego do proponowanych ram małżeństwa ślubnego. Ale nie pomyślałam o tém, że możemy mieć dzieci. Przed tygodniem poczułam straszną tęsknotę za mem małżeństwem. Sądziłam, że oczy mi wypłyną ze łzami. Znikł nawet żal do Andrzeja. Przecież to jego syn! On — ojciec, począł go wspólnie ze mną... Tylko nas dwoje było świadkami naszego zmagania się w rozkoszy; on stał się bezwładnym w mych pierścieniach. Pocałunkami tamowałam mu oddech...

Czuję się niezdrową. Mam straszne podejrzenie! Jutro udam się do doktora.

15 sierpnia.

Skończyło się. Wznowił się przymiot... Już stanowczo nie mogę być żoną Kazia. Biedny! Nie mam odwagi powiedzieć mu. Napiszę list i opuszczę go. Jutro wyjeżdżamy. W Kownie uciekam i... w świat, w świat! Podłości względem Kazia nie popełnię, bo prawie już pokochałam go. Ale nie wiem, czy się będę rachowała z ludźmi. Czuję — że przyjdę z niemi do obrachunków, do strasznych obrachunków...

Kowno, d. 19 sierpnia.

Kochany Kaziu!

W egoizmie miłości naszej nie pomyśleliśmy nigdy o dzieciach. Miłość kończy się dzieckiem. A co my mu dać możemy?

Ty — dasz zdrowe ciało chłopa i pesymistyczną myśl schyłkowca.

A ja? Atawizm arystokratycznej podupadłej głupoty rozbitą wiarę w mężczyzn; nienawiść do zasad, czczonych w domu. Na domiar mam truciznę we krwi. Spytaj o to doktora w Birsztanach.

Chyba zrozumiesz mnie teraz, że nie mogę być twą żoną. A za twą dobroć, szlachetność, miłość — nie mogę się mścić na tobie tak, jak kobieta złamana i zakażona mści się na całym rodzaju męskim. Na pożegnanie powiem ci, że uwielbiałam cię. Tyś piękna, czysta, złota dusza. Z nią żyć powinna piękna kobieta, czysta zdrowiem ciała, silna potęgą ducha. Powinieneś brać szczęście — ono ci się należy, dałeś mi jałmużnę z takim królewskim przepychem, iżem uwierzyła w godność moją...

Lecz prysły złudne marzenia. Trucizna, zabijająca ciało, przeżarła pozostałe zdrowe struny duszy...

Żal mi cię. Płakałam po tobie te ostatnie noce.. Wiem, że tracę jedyne serce męskie, na którem polegać mogłam. Ale nie mogę go za to łamać. Opuszczam cię przez wdzięczność dla ciebie.

Żegnam na zawsze, twoja *S. B.*

Autonomja i Federalizm w ustroju państw konstytucyjnych.

Dokończenie.

W dalszym ciągu p. Mendelson robi mi zarzut, że pominąłem dział finansowy, nie omawiam samorządu miejskiego i gminnego i t. p.

Zarzut ten jest, jak to zaznaczyłem na wstępie, naiwny. Przedewszystkiem zaznaczone zostało przez

wydawców w przedmowie, jak i przeze mnie, że o przedmiotach tych inni pisać będą specjalne książki; po drugie, dziwnem jest żądanie, żeby w jednej popularnej książce wszystko to poruszać na tej tylko podstawie, że tematy te mają ze sobą związek.

Dla zrozumienia zakresu samodzielności kantonu, stanu, w Szwajcarji i Ameryce, a Galicji i Kroacji w Austrji i Węgrzech nie jest rzeczą konieczną przedstawiać organizację samorządu miejskiego i wiejskiego. Co zaś do finansów, - to powiedziawszy ogólnie o kompetencji finansowej krajów i prowincji, zrobiłem to, co należy. Gospodarka finansowa nie wchodzi w zakres mego przedmiotu. Zarzuty te możnaby jeszcze zwiększyć, naprz. mógłby mię ktoś zapytać, dlaczego pominąłem określenie społeczeństwa, kiedy przecież autonomja funkcjonuje w społeczeństwie; dlaczego nie przedstawiłem historji instytucji autonomicznych; dlaczego nic nie wspomniałem o heretykach prawa rzymskiego końca wieków średnich, których wpływ był bardzo duży w epoce pozostawania państwa nowożytnego i t. d. Zapewne byłoby rzeczą bardzo interesującą pisać o tem wszystkiem. Może p. Mendelson wyda książkę prawną, w której na 300 str. wypowie wszystkie swe wiadomości naukowe, co mu przyjdzie z wielką łatwością z powodu ich ubóstwa i bardzo uproszczonego sposobu rozumowania. W umyśle p. Mendelsona wszystko występuje na wspak. Zarzuca mi on, że nie omówiłem wiele rzeczy, mających dalszy związek z przedmiotem; natomiast dziwi się, że w obszernym wstępie przedstawiłem podstawę sprawy państwa konstytucyjnego.

Takie sprawy, jak system wyborczy, stosunek władzy wykonawczej do prawodawczej, i t. p. mają bez porównania większe znaczenie dla autonomji i federalizmu w chwili obecnej, od manicypalności hiszpańskich w wiekach średnich, o których wspomina mój wesoły krytyk. Pan Mendelson chce być koniecznie dowcipny, chociażby kosztem logiki i sumienności. Tak więc, mówiąc o tem, że wstęp mój jest niepotrzebny, dziwi się, że robię w nim wzmiankę o marmonach. Czytelnika, nie znającego mojej książki mogłoby to także zdziwić. Tymczasem wspomniałem o marmonach dlatego, aby wykazać, że nawet w Stanach Zjednoczonych niema całkowitej wolności obyczajów, i że państwo, tolerujące prostytucję, nie toleruje wielożeństwa. Wspomniałem o tem w ustępie o wolnościach obywatelskich.

O ile mniej znaną jest p. Mendelsonowi jakaś sprawa, o tyle z większą śmiałością i arogancją wygłasza o niej swe kategoryczne twierdzenia. Pan Mendelson wie dobrze, że nadrabianie miną ma swe praktyczne znaczenie; to też wspominając o autonomji nieterytorjalnej, nie rozumuje już zupełnie, tylko rzuca wyrazy bez związku. Zaczyna od napomknięcia, że zdaje się Guliot powiedział, iż dawny samorząd angielski był nieterytorjalny, lecz polegał na podziale pracy administracyjnej, potem zaznacza, że w szczegóły wchodzić nie może i niewiadomo dlaczego przechodzi do Czech. Wreszcie zarzuca mi, że nie wiem, czem jest autonomja narodowościowa nieterytorjalna, a że wie o tem Springer, którego p. Mendelson, jak się przyznaje, nie czytał.

W rozdziale III przedstawiłem, co pojmuję przez autonomję nieterytorjalną. Powiedziałem, że polegaćby powinna na tem, żeby ludność pewnego narodu, rozproszona na terytorjum obcego państwa, mogła mieć swój sejm, wybrany przez siebie tylko, który miałby moc prawną regulowania w drodze prawodawczej jej sprawy kulturalno-narodowe, uchwalałby na cel ten pieniądze, i egzekwował je. Przynależność jednostki do tej lub innej grupy narodowej byłaby dobrowolna, o ileby jednak jednostka wstąpiła do takiej politycznej grupy narodowej, byłaby obowiązana do poddawania się uchwałom sejmu. Dalej wykazałem, że pod powyższe pojęcie autonomji nieterytorjalnej możnaby podciągnąć i takie urządzenia w prowincjach i gminach miejskich i wiejskich, zaludnionych przez ludność mięszaną, przy których budżety dzieliłyby się proporcjonalnie do ludności między poszczególne grupy narodowe z pozostawieniem im prawa dysponowania tym funduszom.

Powyższe poglądy mogą się p. Mendelsonowi nie podobać, ale nie może on twierdzić, że nie wiem, czem jest autonomja narodowościowa nieterytorjalna.

Następnie zaznaczyłem wyraźniej, że może ona dopełniać tylko organizację terytorjalną, ale nie zastępować jej.

I tu, jak gdzieindziej p. M. przywiązuje wagę przedewszystkiem nie do rzeczy, ale do wyrazu, więc nie rozpatruje samej instytucji, ale jej nazwę. Scholastyka przytępiła umysł p. M.

W książce swej wystąpiłem przeciwko teorji narodowo-demokratycznej, opierającej się na pojęciu „stanu posiadania". Zaznaczyłem, że gdyby wszyscy stali na tem stanowisku, to nic nigdzie w stosunkach państwowych zmienićby się nie mogło. Na moją rzeczową argumentację p. M. odpowiada frazesem ogólnikowym, że musimy się trzymać stanu posiadania, a więc odmawiać praw rusinom, ~~to o tem pisałem~~.

Najzabawniejsze jest występowanie p. M. w roli „polskiego" patrjoty; w swoim czasie nie tylko że nie stał on na gruncie „stanu posiadania", ale oddawał wszystko, co było, potem rzucił się w przeciwną ostateczność i chciał „dzielić" inne państwa, w końcu machnął ręką na wszystko, a obecnie jest „polskim" patrjotą, i robi mi zarzut za to, że stoję na tem stanowisku, że w sprawie terytorjów spornych ludność sama powinna określać, w skład jakiej jednostki terytorjalno-politycznej chce wejść sama. Pisałem na str. 271

„Królestwo Polskie, z wyjątkiem kilku powiatów w gub. Suwalskiej, a po części Lubelskiej i Siedleckiej, posiada jednolitą ludność polską, prócz żydów, stanowiących znaczny procent po miastach; w gub. Grodzieńskiej jest kilka powiatów z ludnością polską. Chcąc sprawiedliwie uregulować stosunki autonomiczne w Król. Pol., należałoby w mięszanych powiatach Lubelskiej, Siedleckiej i Grodzieńskiej gub. pozostawić samej ludności zupełną swobodę wypowiadania się, do jakiego życzy sobie należeć terytorjum. Co do gub. Suwalskiej... to możnaby oddzielić polską od litewskiej części tej gub." Z powyższego przedstawienia rzeczy widać, że stawiam postulat, zastosowanie którego pod jednym względem uszczupliłoby Król. Pol., a pod innym powiększyłoby je, a raczej mogłoby powiększyć pow. gub. Grodzieńskiej.

P. M. zaś twierdzi tylko, „że amputuje gub. Lubelską i Siedlecką", i przy sposobności stara się ośmieszyć myśl przekształcania granic Król. Pol.

Moje poglądy w kwestji wyrównania granic Król. Pol. zgodne są z tem, co już było omawiane podczas zjazdów polsko-rosyjskich i akcji wyborczej w gub. Suwalskiej.

W książce swej zrobiłem zarzut narod. dem., że po części winną jest być może temu, że sprawa autonomji Król. Pol. nie posunęła się naprzód i zaznaczyłem, że: gdyby nie pogardzała hasłami, ale miała program określony, to przy swym wpływie wielu włościan mogłaby zjednać dla autonomji Król. Pol. w ten sposób, jak przez innych zjednani zostali robotnicy i ludność miast. P. M. bierze w obronę narod. dem. i twierdzi, że nasze społeczeństwo żadnego wpływu na bieg wypadków niema. Otóż przedewszystkiem twierdzenie, wypowiedziane w formie kategorycznej, nie wytrzymuje krytyki; zresztą każde stronnictwo działające musi pracować nie w tem przeświadczeniu, że nic zrobić nie może, lecz wprost przeciwnem.

Dotychczasowe zarzuty p. M., robione książce mej były tylko śmieszne i niesmaczne, jak naprz. dotyczące patrjotyzmu. Ale p. M. na tem nie poprzestał, lecz uciekł się do bezprzykładnych rzeczy i poprostu świadomie kłamie, twierdząc, że nie rozróżniłem

pewnych pojęć prawno państwowych i cytuje odpowiednie strony mej książki, na których właśnie rozróżnienie to zrobiłem.

Pan M. twierdzi, iż streściłem poglądy Jellinka bez znajomości jego książki, i piszę: „Autor nasz nie odróżnia nawet między „Souverenitaet“ a „Staatsgewalt albo Herrschaft“, a właśnie cała oryginalność poglądów Jellinka (a zresztą i Labanda) polega na tem, że przestał brać zwierzchność (Souverenitaet) za kryterjum państwa. Wobec tego nie dziw, że p. K. krytykuje nie poglądy Jellinka, ale własne streszczenie rzekomych poglądów profesora niemieckiego.“ Na poparcie tego twierdzenia p. M. cytuje str. 177 — 180 mej pracy. Otóż na str. 177 piszę: „Inni natomiast teoretycy, że wymienię tylko Jellinka, twierdzą, że posiadanie władzy zwierzchniej nie jest niezbędnym warunkiem istnienia państwa, dlatego też rozróżniają oni państwa z władzą zwierzchnią i bez niej. W państwie związkowem poszczególne państwa nie posiadają władzy zwierzchniej, która tylko należy do niego jako całości“.

Oto dowód sumienności p. M, oraz jego bezprzykładnej naiwności, polegającej na tem, iż przypuszczał, że jego kłamstwa nie ujawnię.

Ale może kto powie, że p. M. „pomylił się“. Mógł poprostu przeoczyć ustęp. Ale ponieważ zacytował stronę, na której się ten ustęp znajduje, więc musiał go czytać, a jeżeli czytał, to powinien był zrozumieć. To zaś, że go nie zrozumiał, każe chyba przypuszczać, że jest może człowiekiem nie tyle niesumiennym, ile umysłowo niepoczytalnym.

Oczywiście nie miałem zamiaru przekonywać pana Mendelsona, gdyż sąd jego sobie lekceważę; chciałem tylko wykazać, co warte są u nas niektóre recenzje i ostrzec czytelników przed jego sprawozdaniami.

To, co napisałem, uwalnia mię od wszelkiej dalszej dyskusji z moim recenzentem, nawet gdyby odkrył nowe „błędy“ mej pracy i znowu przytoczył fałszywe cytaty.

Ludwik Kulczycki.

Tydzień polityczny.

Kanton Zurych pozazdrościł rządowi francuskiemu sławy pogromcy strejkujących robotników. Z okazji strejku 3000 mularzy demokratyczny rząd zurychski nosi się z zamiarem zmobilizowania części armji kantonalnej. Policja zurychska ucieka się do sposobów, szeroko praktykowanych gdzieindziej. Za pomocą swoich ludzi stara się sprowokować robotników do manifestacji i zamieszek, chcąc dać powód do wkroczenia siły zbrojnej i aby usprawiedliwić wysoce stronnicze postępowanie rządu. A demokracja szwajcarska spokojnie przygląda się tym wszystkim gwałtom i w cichości serca pragnie, aby krew się polała.

Wogóle daje się w Szwajcarji zauważyć ogromny wzrost reakcji. Walka ekonomiczna wre tu z niezwykłą zapamiętałością, i z walki tej robotnicy niezawsze wychodzą zwycięzcami. Obustronna nienawiść jest jeszcze spotęgowaną tem, że robotnicy przedstawiają z siebie element napływowy, składają się bowiem przeważnie z niemców i włochów.

Burżuazja szwajcarska nie znajduje więc silnej przeciwwagi w szwajcarskim proletarjacie. Tem się tłomaczy względnie słaby rozwój socjalizmu w Szwajcarji pomimo silnego skoncentrowania kapitału w przemyśle.

Partja socjalistyczna szwajcarska ma do zaznaczenia w ostatnich czasach same porażki. Przeszło bowiem w plebiscycie prawo o kontroli produktów spożywczych, przeciw któremu występowała, a teraz, jak się okazało, nie dojdzie do skutku referendum w sprawie prawa o anarchistach z powodu, że partja socjalistyczna nie potrafiła zebrać potrzebnej ilości podpisów. Potrzeba było 30000, a zebrano tylko 27,682; z tego prawie połowę dostarczył sam Kanton Zurych.

Wskutek takiego obrotu sprawy, prawdopodobnie niedługo wejdzie w życie sprzeczne z zasadami wolności i demokratycznej konstytucji „prawo wyjątkowe“, które nietylko stanie się w rękach burżuazyjno-demokratycznych rządów kantonalnych bronią w walce przeciw robotnikom, ale i może utrudnić pobyt w Szwajcarji wygnańcom politycznym z innych krajów.

Policja szwajcarska i dotychczas nie odznaczała się względnością i z gorliwością godną lepszej sprawy tropiła „anarchistów“ i „rewolucjonistów“, aby uzasadnić potrzebę swego istnienia. A teraz można oczekiwać, że zacznie wyprawiać prawdziwe orgje.

W angielskiej izbie gmin przeszedł, prawda nieznaczną większością głosów, § 6 tak zwanego *Education bill*, ustanawiający, że wykłady religji odbywać się mają w godzinach nieobowiązkowych. Dotychczas pruderja kwitła w Anglji i przejście podobnego prawa dowodzi, jak wzmogły się w kraju prądy liberalne.

Zawdzięczać to należy młodej partji robotniczej w parlamencie, która swoją energją zmusza partje burżuazyjne do ustępstw. Przejście *Education bill* nie zadawalnia coprawda żądań partji robotniczej, ale może być uważane za wstęp do dalszych zdobyczy. Usunięcie wykładów religji ze szkoły wogóle, a potem rozdział kościoła od państwa — oto etapy, po których prawdopodobnie kroczyć będzie parlament w dziedzinie ogólnej polityki.

Pewnem jest, że izba Lordów oprze się wprowadzeniu *Education bill* w życie. Ale nie mniej prawdopodobnem jest, że takie wystąpienie izby wyższej przeciw woli większości parlamentu, rozpęta burzę niezadowolenia w kraju i może być wyrokiem zagłady istnieniu dziedzicznego przedstawicielstwa wogóle.

Niedawno odbył się w Saint-Etienne kongres francuskiej Federacji narodowej górników. Rezolucje na nim powzięte odegrają wielką rolę w dalszym rozwoju francuskiego proletarjatu. Przedewszystkiem Federacja postanowiła zjednoczyć się z inną organizacją górników — Związkiem federacyjnym. To połączenie się ma być potwierdzonem przez następny kongres. Usunie ono ten rozdział, jaki istniał pomiędzy górnikami, działając paraliżująco na siłę ich wystąpień, jak to np. ostatnio było podczas strejków w okręgu Pas de-Calais.

Następnie kongres postanowił domagać się wydania prawa, które zapewniałoby udział delegatów górniczych w zarządach kopalni. W ten sposób kapitałowi odebraną zostałaby możliwość rozporządzania się samemu losem znajdujących się w jego jarzmie robotników.

Lecz, aby podobną kontrolę wprowadzić w życie niezbędnem jest, aby wszyscy robotnicy byli zorganizowani w jednym obowiązkowym związku zawodowym, ponieważ tylko taki mógłby wyznaczać kandydatów do zarządu kopalni, a głosowanie powszechne decydowałoby, komu robotnicy chcą powierzyć reprezentację swych interesów.

Rezolucje powyższe dowodzą wzrostu świadomości proletarjatu, która jedynie jest najlepszą oporą przeciw reakcyjnym zakusom zazdrosnej o swe przywileje burżuazji.

W chwili obecnej toczy się spór pomiędzy Anglją i Belgją o Kongo. Dotychczas Kongo było uważane za prywatną własność króla belgijskiego, którego urzędnicy z jednakowym zapałem przeszczepiali ludności tamtejszej wszystkie wady cywilizacji, jako też i napełniali swe kieszenie. Belgijscy kupcy korzystali z udzielonego im przez rząd belgijski monopolu i robili niemniej wspaniałe interesy, wyzyskując ludność z całą bezceremonjalnością współczesnego kapitalisty.

Lecz oto Anglja zażądała tego samego przywileju i dla swoich poddanych.

Na to król Leopold II wydał list, w ktorym dowodzi, że suweren królestwa Kongo uważa je jako swoją nietykalną własność prywatną i dlatego nikt niema prawa mieszać się do spraw jego majątku.

Oczywiście rząd angielski, który w innych wypadkach staje chętnie w obronie własności prywatnej, nie zgodził się na indywidualistyczny sposób pojmowania praw zwierzchniczych przez Leopolda II, (którego utrzymanie, nawiasem mówiąc kosztuje naród belgijski 2 miljony franków) i sir Edward Grey zburzył naiwny pogląd, jakoby na to tylko 7-miu dyplomatów, przedstawicieli siedmiu mocarstw, w 1885 roku przez całe tygodnie dyskutowało w Berlinie, aby Leopold II mógł bez przeszkód zaspokajać swe mniej lub więcej inteligentne zachcianki.

Na zasadzie więc berlińskiego aktu z r. 1885 sir Edwar Grey zwrócił się do królestwa Kongo z następującemi żądaniami: 1) zapewnienie ludzkiego obchodzenia się z tuziemcami. 2) Zniesienie monopolu handlowego państwa w tych krajach, które uważane są jako koronne i państwowe. 3) Zniesienie monopolu Towarzystw handlowych, który czyni zapewnioną przez umowę berlińską wolność handlu w Kongo zupełnie iluzoryczną. 4) Gwarancja niezależnych i bezstronnych sądów, których obecnie według zdania Greya w Kongo niema, a to z powodu, że sędziowie zależni są od rządu. Anglja domaga się, aby przynajmniej jej własni poddani byli sądzeni przez angielskich konsulów.

W całej sprawie ciekawem jest dbałość Anglji o sprawiedliwość i ludzkość, kiedy chodzi o interesy angielskiego kapitału. Nie wszędzie z „tuziemcami" obchodzą się po ludzku, a pomimo to sir Edward Grey ze stanowczością bardzo niedawno wypowiedział się przeciw wtrącaniu się w nie swoje sprawy.

Następnie niewiadomem jest, w jaki sposób Anglja przeprze swe żądania, bo Leopold dobrowolnie na nie się nie zgodzi. Ustępstwa te zrujnowałyby go finansowo i królewska korona nie uchroniłaby go od konieczności zapłacenia odszkodowania Towarzystwom handlowym, czego uczynić nie jest w stanie. A więc Anglja niczego nie uzyska, jeżeli nie ucieknie się do środków gwałtownych.

Lecz przy obecnej sytuacji wojna z Belgją, mogłaby doprowadzić do nieobliczalnych następstw, niepożądanych dla kapitalistów wogóle, a dla angielskich w szczególności.

A sądy polubowne, jak to pokazała ostatnio marokańska konferencja, budzą niepotrzebnie apetyty i rozogniają tylko stosunki, zamiast je łagodzić. Więcej zwoływanie sądów byłoby rzeczą i nieprzyjemną i niebezpieczną.

Jednym słowem wyjście z kapitalistycznych kłopotów jest dosyć trudne. Skończy się prawdopodobnie tem, że obydwaj amatorzy na prowadzenie handlu w Kongo, potargują się trochę, poczynią sobie wzajemnie ustępstwa i poczną wspólnie szerzyć „cywilizatorską" misję, nakładając na tuziemców dwa razy większe niż obecnie ciężary. I anglicy zapomną o żądaniach ludzkości, i jak wszyscy współcześni „cywilizatorzy" pamiętać będą tylko o wymaganiach interesu.

Nieraz w prasie rozbrzmiewały skargi na porządki w armji niemieckiej. Ale po większej części chodziło o nadużycia dyscypliny wojskowej, o t. zw. „Soldatenmisshandlungen". Prasa burżuazyjna, choć oburzała się na wypadki gwałtów nad żołnieżami, skłonna była jednak tłomaczyć je koniecznością utrzymania sprawności armji, czyli względami ważności państwowej.

Lecz już książka Bilsego „Z małego garnizonu" odchyliła rąbek prawdziwego oblicza obrońców niemieckiej ojczyzny. Pokazała ona ten cały bezmyślny tryb życia oficerów, zarówno niższych, jak i wyższych, będący najpodatniejszem polem dla wszelkiej demoralizacji i zwyrodnienia. Ta pozbawiona literackiej, lecz posiadająca historyczną wartość powieść otworzyła niejednemu oczy na prawdziwe przyczyny drobnych skandalów w armji niemieckiej, żadnego związku nie mających z koniecznością dyscypliny wojskowej.

Ale dopiero teraz, kiedy wyszły na jaw skandale kolonjalne, prasa burżuazyjna uderzyła na alarm, wzywając do obrony zachwianego „honoru" armji. Okazało się bowiem, że zgnilizna i korupcja kwitnie w najlepsze na pysznem ciele niemieckiej armji. Dostatecznie było posłać ją na pole czynu i walki, włożyć na nią brzemię odpowiedzialności, pozostawić ją samej sobie, aby z kryjówek wypełzły na światło dzienne chciwość, przekupstwo i barbarzyńskie instynkty.

Stwierdzono, że ofiarami, przeznaczonemi dla żołnieży, znajdujących się w kolonjach południowo-afrykańskich, zapełniano kieszenie berlińskich oficerów i urzędników. Panowie wojskowi w Kamerunie kosztem płacących podatki budowali domy dla swych konkubinek. Jakimś „dziwnym", po dziś dzień niewyjaśnionym sposobem, kompletne umundurowania żołnieży, tornistry, karabiny znalazły się aż w... Argentynie. Zato europejscy Kulturträgerzy w południowej Afryce gorliwie uprawiają sport alkoholiczny i szczerze opiekują się prostytutkami, które zjechały się ze wszystkich stron świata.

Tout comme chez nous!.... I nic dziwnego. Cały system armji współczesnych, automatyzując człowieka, zabijając w nim myśl wszelką, dławi w nim wszystko człowiecze, demoralizuje go bezczynnością i budzi zwierzęce instynkty. Dopóki będą istnieć stałe armje, narody będą miały wśród siebie ognisko zepsucia i korupcji. Organizm wojenny, który nie narodził się z potrzeby obrony podobny jest do maszyny, której koła nie obracają się w wirze produkcyjnej pracy — rdzewieje. Według dumnego twierdzenia Wilhelma „Niemcy idą na czele świata, a Prusy na czele Niemiec". Jest to szczególniej słusznem, kiedy chodzi o zakusy reakcyjne.

L. P...

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca *Stefan Szczawiński.* Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 25.